№ 8. Warszawa, dnia 9 (21) Lutego 1889 r. Rok XXV

PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie.
We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.
Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:
kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rsr. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBERG.**
EXPEDYCYA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY
Ulica Królewska Nr. 5.

W Cesarstwie Austryackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80
W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.
W W. Ks. Poznańskiem: u Leitgebera i Spół., kwartal. 5 marek

POGAWĘDKA.

— Powiem panu, że tegoroczny karnawał nietylko nie jest hucznym—mówiła mi pani X., niegdyś królowa wszystkich balów, a dzisiaj *une reine en exil*, prowadząca tylko kronikę ważniejszych wypadków w swojem dawnem państwie salonowem;—nietylko mało się bawią, ale mało się żenią, to ważniejsze. Wy tam piszecie o zmądrzeniu, o nabraniu rozumu i umiarkowania; dałby Bóg, ale ja co innego widzę pod tym objawem. Nie oleju nam przybyło w głowach, ale ubyło z kieszeni pieniędzy. Cnota z konieczności, mój panie. Nie myśl pan, że się tak bardzo oszczędzamy; nie mamy za co hulać—oto wszystko. Dlatego ludzie bawią się mniej, niż innych lat i dlatego się nie żenią.

— Czyż to jedyny powód?

— Jest ich więcej, ale to jeden z najważniejszych. Za moich czasów powiadano żartobliwie: „Oho, kartofle obrodziły w tym roku, panny pójdą za mąż.“ I powiem panu, że to miało swą racyą. Im dostatniej człowiekowi, tem większą ma ochotę do wszystkiego. Teraz bieda odstrasza, ludzie się kurczą, jak mogą, a żona—zwłaszcza miejska, to dzisiaj kosztowny zbytek, jak utrzymują mężowie.

— A czy nie jest tak po większej części?...

— Może jest, ale być nie powinno. Wszystkie dobre i dobrane spółki są oszczędnością: dlaczegóżby tylko małżeństwo miało być zbytkiem?...

— Dlatego, że jeden ze wspólników w tej firmie najczęściej nic nie wnosi, oprócz siebie, a wydaje za dwoje.

— Czyż to zawsze tym złym spólnikiem bywa żona?

— Często i mąż, przyznaję.

— I powinieneś pan przyznać. Skarżycie się, że żony bywają marnotrawne, niegospodarne, nie umieją oszczędzać; ale policzcie tylko sprawiedliwie, ile wydajecie sami za domem i na siebie, a ile wasze żony. Wasze drobne wydatki, zacząwszy od papierosów, cygar, dorożek, śniadanek i kolacyjek po handelkach, aż do rozmaitych kosztownych grzeszków, których żony wasze nie mają, aż do przegranych pieniędzy w karty, etc., etc.,—stanowią w ogólnej summie znaczną rubrykę, którą wpisujecie w budżet małżeński. Wiecie, dlaczego małżeństwo tak drogo kosztuje? — dlatego, że jako mężowie zachowujecie najczęściej swoje kawalerskie przyzwyczajenia i wydatki.

— Przyzna pani jednak, że jedna toaleta balowa...

— Wiem, co pan chcesz powiedzieć: niszczymy was na stroje i fatałaszki—stara piosneczka. Odpowiem panu i na to: czy wiesz pan dlaczego te wydatki ciążą wam najbardziej i wydają się największemi?... dlatego, że są najczęściej jednorazowe, sporadyczne, podczas gdy wasze rozkładają się na mniejsze, codzienne i peryodyczne raty. Nie czujecie tego, że codziennie wyrzucając choćby tylko rubla na siebie, w ciągu miesiąca wydajecie więcej, niż kosztuje owa okrywka lub trzy kapelusze waszych żon, które im wypominacie przez cały rok.

— Szanowna pani zanadto broni kobiet w tej sprawie.

— Broń Boże; jestem tylko dokładniejszą w rachunkach od pana, a jeśli chodzi o zarzuty dla żon, to mam i takie w zapasie. Mojem zdaniem—mogę to powiedzieć, niestety z własnego, doświadczenia, bom wyszła za mąż jako panna przeciętnie niepraktaczna i musiałam się dużo uczyć i oduczyć w roli mężatki gospodyni — otóż mojem zdaniem, żony najczęściej grzeszą nie tem, co wydadzą, ale tem, czego w wydatkach zaoszczędzić nie umieją.

— To mniej więcej na jedno wychodzi.

— O nie, mylisz się pan i każda trochę praktyczniejsza gospodyni, matka, żona przekonałaby pana tysiącznemi przykładami, że cała sztuka oszczędności polega w sprycie kobiety i tej umiejętności, jak to powiadają, robienia z jednego trzech. Czy to pan nie widziałeś takich, które sobie niczego nie odmawiają, ubierają się na oko przyzwoicie i gustownie, chodzą do teatru, nawet na bale, przyjmują u siebie często gości, nie robią nigdy długów i mają zawsze tyle, ile im potrzeba, a mężowie ich stosunkowo mniej zarabiają od innych i jeszcze kawalerskie długi spłacać muszą?... Widzisz pan, to są sprytne i rozsądne kobietki, ze zmysłem kombinacyjnym, ze znajomością owych drobiazgów, które stanowią sekreta każdej dobrej gospodyni, przezornej, doświadczonej, wnoszącej do małżeńskiej spółki ład i praktyczność, których braknie najczęściej mężom.

Byłem przekonany temi argumentami, ale w duszy westchnąłem za większość mężów: „Przyjdź królestwo twoje!“—daj Panie Boże jaknajwięcej żon tak wychowanych i tak doświadczonych, z których każda potrafiłaby sama z siebie napisać „Poradnik dla gospodyń“ i „365 obiadów za pięć złotych“ i umiała cudownie potrajać każdy grosz, zapracowany przez męża w pocie czoła!...

Nie trzebaby wtedy czekać owych lat żyznych, w których kartofle obrodzą, aby panny łatwiej za mąż wychodziły; każdy kawaler śpieszyłby się sam do ołtarza, bo już-by go nie odstraszały zbytnie ciężary materyalne małżeńskiego jarzma.

Na teraz fakt pozostaje faktem, że w bieżącym karnawale znacznie mniej się żenią, nietylko podobno w samej Warszawie, ale i na prowincyi.

Ale zato... ślizgają się „do upadłego,“ co znowu nie jest tyle znaczącem wyrażeniem, uwzględniwszy ślizkość lodowej posadzki i łatwość pokazania pięt słońcu, lub gwiazdom... przy straceniu równowagi.

Maskarady ze Sal Redutowych przeniosły się na

lód i lepiej się udają tam, gdzie wymowa nóg jest łatwiejszą od wymowy języka, a intrygę stanowi karambol.

Cykliści najwięcej miru wyrobili sobie u łyżwiarzy i stawek ich „na Koszykach“ roi się płcią słabą i silną, wirującą, jak jaskółki przed burzą, po szklistej fali lodu.

Przed tygodniem odbył się tam konkurs łyżwiarski, do którego stanęło sześciu panów i dwie panny; niewiele to, jak na tak znaczną liczbę „holendrujących“, ale początek bywa zawsze trudny. Powoli ośmielą się lodowi *sportsmani* do tego rodzaju publicznych popisów i będziemy mieli nowych laureatów z medalami srebrnemi i bronzowemi... na nogach i nóżkach zwycięzkich.

Kiedy pierwsze bicykle ukazały się na bruku, spoglądano na jeźdźców, jak na cudaków: dzisiaj klub cyklistów wzrasta coraz bardziej a nowy rodzaj *sportu*, tańszego od hodowli koni wyścigowych, zyskuje gorących zwolenników Ba!... znajdują się tak zapaleni „skoropędziści“, że na wystawę do Paryża wybierają się na swoich stalowych rumakach przez Aleksandrów, Berlin i Kolonią.

Wycieczka taka wymaga około trzech tygodni czasu i silnych muskułów w nogach; zdaje mi się wszelako, że wypada drożej od najwygodniejszej jazdy, obliczywszy koszta kilkutygodniowego utrzymania, wypoczynków w drodze, hotelów i... ewentualnie kuracyi w Paryżu po tak nużącym wysiłku.

Jak to też będzie z tą wystawą paryzką, Bóg raczy wiedzieć. Z naszej strony mało kto wybiera się w charakterze wystawcy; rzecz całkiem naturalna: produkujemy tak mało dla handlu wywozowego zagranicę, że nie mamy widoków zrobienia interessu, zwłaszcza wobec konkurrencyi przemysłu obcego. Zaszczyt zaś figurowania na tym wszechświatowym turnieju, choćby nie na naszym szarym końcu, jest za drogim na te czasy.

Zrozumiało to dobrze Towarzystwo wyścigów konnych, urządzające corocznie peryodyczne u nas wystawy inwentarza na Placu Ujazdowskim, i postanowiło tym razem zamiast niej urządzić jarmark.

Nie będziemy tedy patrzyli na okazy pańskich stajen i obór, na fajerwerki i karuzele, na wyścigi powozów i piękne zaprzęgi, ale bez tej całej parady zbierzemy się (mówię: my, gospodarze, rolnicy, hodowcy i t. p.) na zwyczajnym targu, aby kupować i sprzedawać, a przedewszystkiem zrobić dobry interes.

Wystawa przy wszystkich swoich praktycznych celach bywała dotąd kosztowną zabawką.

— Mój kochany—mówił mi jeden z moich „ogorzałych“ przyjaciół, kiedy go spytałem, dla czego nigdy niczem nie popisywał się na Ujazdowie, pomimo wzorowo utrzymywanej stajni i obory— czy to u mnie ruble na ugorach rosną?.. Wielka mi rzecz, że dostanę list pochwalny, albo nawet medal, a mojemu bykowi zawieszą wieniec na karku albo mi konia uwieńczą. Ja i bez tego wiem, że mam najpiękniejszą klacz w całej okolicy, a krów mi wszyscy sąsiedzi zazdroszczą; nie potrzebuję tego od waszych expertów na piśmie, zwłaszcza gdy mam własnym kosztem przysłać i odesłać moje żywe okazy do Warszawy, utrzymywać je na wystawie i odrywać człowieka, a czasem i dwóch ludzi, od roboty w domu.

— No, przecież nagrody, widoki sprzedaży, reklama...

— Daj pokoj, znamy się na tem, — przerwał mi ze śmiechem *sui generis* „obywatelskim;“ — nie starczy skórka za wyprawę.

— A na targ przysłałbyś?

— Na targ co innego; poślę, jeśli będę miał co do sprzedania i znajdę widoki dobrego zbytu, a choćbym sam nie miał sprzedawać, to przyjadę pomyszkować i przypatrzyć się, czy nie możnaby czego nabyć. Cóż chcesz, w człowieku jest trochą resztek dawnego bałagulstwa po ojcach...

Targ na konie i bydło ma zatem więcej widoków powodzenia od dotychczasowych wystaw, mając praktyczniejsze cele przed sobą.

Na Wrzesień bieżącego roku zapowiedziano jarmark chmielarski, którego inicyatorem jest p. Wł. Stankiewicz, szczególniejszy opiekun hodowli chmielu u nas.

Pisałem o tem swojego czasu, wykazując, ile korzyści obiecują rzeczoznawcy z podniesienia u nas tej kultury i wyrugowania obcego produktu z rynków miejscowych.

Ministeryum zezwoliło na urządzenie pierwszego jarmarku chmielarskiego w Warszawie i na odbytym zjeździe chmielarzy w dniu 15-go b. m. ułożono statut i uradzono, w jakim terminie i w jakim warunkach ma przyjść ów targ do skutku.

Może też jego przewidywane powodzenie wznowi projekt założenia u nas spółki chmielarskiej, do której tak trudno zebrać uczestników z kapitałem, jak trudno było swojego czasu zachęcić ludzi do utworzenia spółki rybackiej lub spółki spirytusowej, opłacających dzisiaj wysokie stosunkowo zyski od kapitałów obrotowych.

Dziwnie ciężko poruszyć u nas ludzi jakąkolwiek przedsiębierczą inicyatywą; potrzebujemy bardzo silnego bodźca, albo przypadkowego wrażenia pierwszej chwili, aby się jąć chętnie i energicznie jakiejś nowej myśli.

Oto o spółce mięsnej i jej zapewnionych korzyściach przy wywozie wieprzowiny zagranicę nasłuchaliśmy się tyle, że szczegółowo znamy już prawie tę całą sprawę na palcach, a jednak gdyby ci Francuzi chcieli do nas z Paryża sami przyjeżdzać po każdą szynkę lub kiełbasę, możebyśmy się przekonali dopiero do tego interessu.

Gazeta Warszawska zamieściła przed kilku dniami zajmujący w tej kwestyi artykuł, nie pierwszy nadto, w którym dokładnie podała obliczenia kosztów i zysków proponowanego handlu.

Okazuje się z niego, iż nasze wędliny mogłyby liczyć na pewny zbyt nad Sekwaną i że po opłaceniu wszystkiego przy hurtowej sprzedaży na miejscu możnaby zarabiać 25% na czysto.

Minimalne ceny kilogramu szynki w hurtowym handlu wynoszą 2 fr. w pechęrzu 2 fr. 25 ct., Kiełbasy lub polędwicy półtrzecia franka; ceny te przy sprzedaży detalicznej znacznie się podnoszą.

Kilogram zwyczajnej szynki gotowanej i krajanej bez skóry i kości kosztuje w sklepie od 5—7 franków, polędwicy w pęcherzu 2—3 fr. 50 ct., kiełbasy od 3—4 fr.

Widzimy ztego, że wędliny. które u nas stanowią tak pospolite pożywienie, w Paryżu należą do drogich przysmaków i „byle kto“ jadać ich nie może.

Korrespondent *Gazety*, widocznie dobrze obznajomiony ze sprawą, pisze: „Chcąc wyzyskać nową gałąź handlu i zapewnić sobie we Francyi stały zbyt wieprzowiny, należy ustanowić w Warszawie jednego świadomego rzeczy ajenta, któryby wysyłał regularnie towar, najlepiej całemi ładunkami po 10.000 kilo. W Paryżu trzeba mieć również swego agenta, ale bezwarunkowo nie Paryżanina, tylko należącego do spółki; w Paryżu też należy otworzyć sklepy do sprzedaży, tak hurtowej, jak detalicznej. Wszelkie bowiem doniesienia o otwarciu w Paryżu sklepu z naszemi wędlinami były czczym wymysłem; takiego sklepu nie było i dotąd niéma. Na teraz dokonywane są tylko małe tranzakcye przez osobę prywatną i pojedynczą.

„Zdaniem mojem,—pisze dalej rzeczony korrespondent — nie trzeba wyczekiwać na wielkie kapitały, lecz niezwłocznie handel rozpocząć. Kilku ludzi z niewielkim kapitałem, lecz umiejących chodzić koło interessu, z wielkim dla siebie zyskiem może podjąć się nowego przesiębierstwa.“

O tych właśnie kilku ludzi zabiegliwych i energicznych chodzi; znajdą się może, ale to będą cudzoziemcy, jacyś Belgowie, lub Anglicy, lub zakapturzeni Niemcy, którzy nas uprzedzą, a potem, patrząc na ich zyski będziemy sobie wykłówali oczy wyrzutami, że pozwalamy obcym zabierać sobie chleb od ust. Wtedy przypomnimy sobie, że wszystkie większe interessa i przedsiębierstwa są w rękach obcych i że Belgowie u nas zaprowadzali tramwaje, Desauczycy gaz, Anglicy kanalizacyą, a teraz elektryczność chcą zaprowadzać Węgrzy i Amerykanie.

Russcy przemysłowcy nie dali się długo namawiać do spółki mięsnej, spróbowali szczęścia i przekonawszy się o możliwości zysków, już agitują u siebie w tym kierunku. Ministeryum dóbr państwa urządza rzeźnie w okolicach Grjazi, p. Sacker urządził ją w Charkowie, z Sarańska w gubernii penzeńskiej wywożą już soloną wieprzowinę za granicę a dalsze przygotowania do tego nowego handlu exportowego nie ustają.

Bardzo też być może, że wkrótce już Paryżanie zjadać będą wcześniej wędliny zpod Uralu, niż z nad Wisły, a my... będziemy się oblizywali.

Zdaje mi się, żem za głęboko się zapuścił w kwestye bardzo prozaiczne i materyalistyczne; kto widział mówić tak długo o wieprzowinie!.. możeby ten temat wypadało zostawić *Encyklopedyi handlowej* do teoretycznego obrobienia, nieprawdaż?.. Encyklopedya rzeczona zacznie już wkrótce wychodzić, przy współpracownictwie kilkudziesięciu specyalistów, zeszytami.

Wspominałem swojego czasu o projekcie takiego wydawnictwa; obecnie dochodzi ono do skutku; zabrano się zatem do dzieła szybko i energicznie, co powinno dobrze wróżyć o jego dalszym toku.

Żeby się u nas tak pszenica dobrze rodziła, jak się rodzą i rozmnażają projekta, jadalibyśmy bułki po groszu, większe od dyni.

Oto z tego posiewu kilka nowych płonek: jeden z pedagogow powziął myśl założenia wakacyjnych osad dla młodzieży za opłatą, któraby wraz z kosztami podróży nie wynosiła więcej, nad 25 rs.

Przypuszczam, że ma to być jedynie udogodnienie dla rodziców z miasta, bo wiejscy panicze mają gdzie oddychać świeżem powietrzem i odkarmiać się na maminym chlebie.

Nie przesądzam pożytku takich kolonii wakacyjnych, ale nie śmiem wróżyć im powodzenia. Nie jest to pożądanem, ażeby rodzice rozstawali się z dziećmi w jedynych miesiącach roku, pozostawionych młodzieży do wypoczynku na łonie familijnem; atmosfera domu, czy-to własnego, czy u krewnych, czy choćby u bliższych znajomych, wywiera korzystniejszy wpływ i pożądańszy, niż takiego falansteru młodocianego, w którym młodzież pod najczujniejszym nawet dozorem zostawiona być musi więcej samej sobie i nauczy się jeszcze więcej odwykać od domu i od swoich.

Nauka szkolna przez dziesięć miesięcy w roku absorbuje i tak prawie całkowicie młodzież, która przecież bywa jakby gościem w domu i zajęta bezustanną pracą, nie ma czasu na bliższe obcowanie z rodziną; mówię tu o obcowaniu duchowem, o tych stosunkach moralnej natury, które tak potrzebne i tak ważne są w wychowaniu młodego pokolenia, a tyle znaczenia mają i wpływu na dalsze życie.

Zamożniejsi cokolwiek rodzice znajdują co rok jakiś sposób spędzania wakacyi ze swemi dziećmi wspólnie, i dobrze robią, nie pozbywając się ich w tym jedynym czasie, w którym dziecko niepodzielnie, całkowicie do nich należy...

Drugi projekt dotyczy utworzenia nowej filantropijnej instytucyi pod firmą „Przytułku rodziny Maryi“ a pod opieką Warszawskiej Rady Dobroczynności; ma to być schronienie dla panien moralnego prowadzenia się i dobrego zdrowia.

Oprócz całkowitego utrzymania w takich dziewiczych koszarach, wychowanki, zacząwszy od szesnastego roku życia, pobierałyby naukę specyalnych robót kobiecych, za opłatą lub bezpłatnie.

Trzy czwarte wychowanek należałoby do tej drugiej kategoryi, a jedna czwarta opłacałaby miesięcznie tylko rs. 10.

Inicyatorką tej nowej instytucyi jest p. Dytmanowa, właścicielka domu przy ulicy Żelaznej.

Przypuszczam, że celibat nia będzie w tej rodzinie obowiązującym, a w takim razie moralne wychowanie i przyswojenie sobie przez pracę jakiegoś środka zarobkowania ubogim pannom starczy za posag i wykwalifikuje je na dobre i poszukiwane żony.

Na jakich warunkach można być przyjętą do wzmiankowanego schronienia, jak długo trwać może pobyt w nim, zkąd czerpać się mają fundusze na utrzymanie takiego przytułku, jaką będzie wewnętrzna organizacya nauk i pracy, czem

głównie zajmować się mają przyszłe wychowanki w schronieniu i jakie wypełniać obowiązki?—to pozostaje jeszcze kwestyą do zbadania i rozwiązania.

Każda instytucya, która daje kawałek chleba i uczy ubogich uczciwie pracować, jest błogosławionym rozsadnikiem użytecznych jednostek w społeczeństwie.

Może nim być i „Przytułek Rodziny Maryi," o którym wszelako żadnych bliższych jeszcze nie posiadam szczegółów.

Na samym końcu zostało mi trochę miejsca do pomówienia o sztuce i literaturze; z bieżących tematów niewiele mam materyału. Najbardziej zajmującą wiadomością na razie jest zapowiedź całej kollekcyi odczytów na Osady Rolne i Towarzystwo Dobroczynności.

Sienkiewicz, zamiast wrażeń swoich z podróży do Hiszpanii, spisał w Zakopanem swoje poglądy na „Romans historyczny" i wygłosi je z katedry podczas Wielkiego Postu.

W teatrze karmimy się samemi odgrzewankami, które często w zbytnim pośpiechu są zastawiane publiczności. Z nowości zapowiadają nam „Ojca Konstantego," przeróbkę z głośnej powieści Halévy'ego.

W operze zawsze panna Russel śpiewa w jednakich trelach jednakowo Verdiego i Rossiniego, Mozarta i Donizettiego, a pełna sala słuchaczy trzęsie się od oklasków.

W salonach sztuki najwięcej uwagi zwraca obecnie duży obraz Jana Rosena, przedstawiający, „Przegląd wojsk na Placu Saskim w roku 1824."

Sam temat nie bardzo wdzięczny i bogaty do dużego obrazu; taka parada musi mieć zawsze trochę sztywności i monotonii, ale dzielny artysta ominął, oile to było w możności, nasuwające się w samym materyale szkopuły i stworzył dzieło wybornie malowane i zajmujące dla naszych widzów.

Rosen wybrał chwilę, gdy przed W. Ks. Konstantym, otoczonym całym sztabem, defiluje oddział lekkiej konnicy, a za nim zwijają się już w szyku baterye artyleryi w zielonych mundurach.

Ułani na białych koniach kłusem przejeżdżają przed dowódzcą, którego pułkownik zniżoną szablą salutuje, zwracając od frontu konia, by pośpieszyć do W. Księcia z rapportem.

Tężyzna z militarną werwą cechuje tu wszystkie postacie i sprawia wrażenie dodatnie bardzo szczęśliwie pochwyconą swojskością typów i charakterystyką kilkuset figur zprzed lat sześćdziesięciu kilku.

Widzów przed obrazem Rosena kupi się wielu i wpatruje się w szczegóły z żywem zajęciem.

Quis.

KAROLINA CAHEN.

(Dokończenie).

Podróż musiała być z konieczności boleśnie przykrą. Za odjeżdżającą zostawała Francya smutna, upokorzona, okryta żałobą ruin. Niemcy, upojone zwycięztwem, święciły tryumf chwały i wielkości swojej. Wszędzie wieńce, chóry śpiewaków, muzyka wojskowa, grająca niemal na każdej stacyi kolei żelaznej, i gromady ludzi, krzyczące: Hoch!... każdemu officerowi, którego ujrzano. Świeża radość niemiecka mussowała jak młode wino—i ona musiała pić ten kielich goryczy, zatruty niemą żałością, bo usta jej mogły tylko milczeć, zacięte boleśnie.

A trzeba jej było przebyć w ten sposób Niemcy całe, bo tak jeńców, jak i rannych nie zostawiano nigdzie bliżej granicy: nigdzie w Niemczech Południowych. Słano ich do Prus, do Prus właściwych, do Zachodnich i Wschodnich, na Pomorze—gdzie można było najdalej, bo zabezpieczało to najbardziej przed ucieczką biedaków. Ztąd nie było już można uciekać. Nawet zrozpaczeni czuli, że lepiejby było zabić się lub zamorzyć głodem na miejscu, niż probować takiej drogi bez pieniędzy, przez kraj nieprzyjacielski, mówiący językiem, którego nie rozumieli, gdy nawzajem nikt ich słowa nie rozumiał. Francuzka werwa, francuzki rozpęd, *furia francesa* odstąpiła ich; wtłoczeni w mundur pruski, stali się automatami, któremi poruszała kommenda niemiecka—i taki to był pierwszy obraz, jaki ujrzała przed sobą szukająca ich kobieta.

Było to w Szczecinie. Po przebyciu rozmaitych formalności i okazaniu papierów: wizy berlińskiej, wizy miejscowej, kommendant twierdzy, pułkownik Bödicker, poprowadził ją do koszar, przed któremi ujrzała na placu wyciągnięty sznurem szereg żołnierzy pruskich bez broni i tylko na skrzydłach stała kompania zbrojnych, podzielona na dwie części i z officerem na czele, który po oddaniu pułkownikowi honorów wojskowych salutowania szpadą, zakommenderował poniemiecku. Ona nieruchoma patrzała przed siebie, aż kommendant uwiadomił ją, że to są jej ziomkowie, których szukała, a ona wstrząsnęła się. — „Co za boleść!—pisze we *Wspomnieniach*—oni, żołnierze francuzcy, w mundurach pruskich!" Ale niemniej rzuca się ku nim: — „Moje dzieci! jakżem ja szczęśliwa, że widzę was nareszcie!"—woła, lecz oni patrzą na nią niemi. Wyprowadzono ich z koszar, ustawiono w szereg, nie powiedziawszy przecież nic, do czego to prowadzi, i słysząc jej wykrzyk gorący, któryś odpowiedział chłodno:—A... pani mówisz pofrancuzku...

— Ale ja jestem Francuzka, ja przybywam z kraju do was—do was, aby was zobaczyć i powiedzieć wam, że tam nie zapomniano o was!—woła—a wtedy linia się łamie, otaczają ją i płaczą—płaczą jak dzieci, a ona przyznaje, że i jej łzy się lały. Kommendant, jak zaświadcza we *Wspomnieniach*, okazał się „bardzo przyzwoitym i ludzkim człowiekiem". Kazał otworzyć dolną salę koszarową i prosił, aby się tam udała z ziomkami i porozmawiała z nimi swobodnie, co przyjęła z wdzięcznością. I rzeczywiście, tylko w ten sposób rozmowa między nią a nimi mogła być otwartą.—Co się dzieje we Francyi, w Paryżu?... wołali najpierw biedacy, zostawieni w najzupełniejszej niewiadomości o kraju. Potem przyszło zaraz pytanie drugie: —Kiedy wrócą i czy wrócą kiedy—czy ich kto zażąda? Ją łzy dusiły. Nie wiedziała, co i jak odpowiadać, bo nie wiedziała jaką może być prawda w odpowiedzi na uczynione pytanie, i żal ogromny ściskał jej serce. Nie szczęśliwym zbywało też na najpotrzebniejszych przedmiotach koniecznego użytku — zbywało im na wszystkiem! Odziano ich w mundur niemiecki, i nie troszczono się o nic nadto, lecz tu mogła już przynieść im ulgę jakąś: dać każdemu trochę bielizny, trochę pieniędzy.

Ale więcej jeszcze niż ubogimi, obranymi ze wszystkiego, byli smutnymi, przygniecionymi dolą swą okrutną.—Każdy mówił:—Choćby umrzeć zaraz, byle u siebie — byle wróciwszy!... Jak nie wiedzieli nic o kraju, tak nie wiedzieli nic o rodzinach swoich i one o nich. Niejeden zostawił rodziców starych, na których zarabiał; niejeden zostawił żonę i dzieci małe: nurtował też ich niepokój, jak tam sobie radzono w opuszczeniu, i dręczyła myśl, kto żyje jeszcze, kto umarł? Widzieli jak jak się paliły wsie francuzkie, jak rozbierano chaty i wypędzano z nich ludzi; więc też okrutna niepewność: co się stało z ich drogiemi, z ich wsią, z ich okolicą?—torturowała im serca. Ona miała przy sobie papier i ołówek, dyktowano jej po kolei, a ona pisała—pisała nazwy wiosek i żon, rodziców, krewnych, do których obiecała pisać zaraz po powrocie do kraju—udzielić wiadomości o biedakach oddalonych i naodwrót wskazać sposób, w jakiby tamci mogli uwiadomić stęsknionych, że żyją, że pamiętają o nich...

Przysięgała, że nie zaniedba tego uczynić, skoro tylko stanie na ziemi francuzkiej — przysięgała, że będzie przypominać i krajowi o ich istnieniu ciężkiem, a na te słowa oczy biednych zalewały się łzami. Zesłabli byli, przetrawieni długą boleścią i tęsknotą, utracili też męzkość i siłę cierpienia, trzymanego w tajemnicy. Zwłaszcza bardziej wycieńczeni, mniej silnej komplexyi, wątpili czy wrócą kiedy? Niejeden już umarł, niejeden już gryzł ziemię niemiecką, czyż na nich przyjść to nie może? Pocieszała, krzepiła; jak mogła; wlała im w serca trochę nadziei, sam nawet jej widok już ożywił ich, podniósł, wzmocnił na duchu i jaki też chór dzięków, błogosławieństw, zapłacił jej za to!..

A jak ją żegnano! jak całowano jej ręce! i pisze też we *Wspomnieniach:*— „Jeżeli było tu coś zasługi z mojej strony, to zniknęło pod nagrodą, którą otrzymałam"...

Ale niewielkie jej środki osobiste nie mogły starczyć nadługo. Trzeba było wracać, przecież po załatwienie zleceń biedaków już nie mogła ostać się spokojnie na miejscu. Kto raz puści się na taką jak ona, drogę poświęcenia, — kto raz zakosztuje palących słodyczy i goryczy, które ono daje, nie łatwo położy się w miękkie łoże życia i pieścić będzie sam siebie. Jest święty zarazek ofiarniczy, który wchodzi nam jakby w krew i ciało; wszyscy wielcy dobroczyńcy ludzkości, wszystkie żywoty szlachetnych jej ofiarników, rycerzy wielkich spraw i idei dowodzą tego, i ona już nie była zdolną utrzymać się spokojnie na miejscu. Widziała wciąż przed sobą smutne oczy, których spojrzenia żegnały ją odjeżdżającą,—pamiętała wciąż ręce, które się wyciągały za nią, i ten pierwszy blask oczu rozjaśnionych nagle w chwili, gdy przybywająca powiedziała im: — Jestem Francuzka i przybywam do was od Francyi, od ziomków... Więc też powzięła postanowienie silne drugiej takiej wyprawy, a teraz poszło jej łatwiej. Ogłosiła to, co widziała, i serca francuzkie wzruszyły się; dostarczono jej zasobów na drogę i znaczniejszych niż te, któremi rozporządzała poprzednio. Przytem wspomagało ją obecnie doświadczenie nabyte i nabrała też odwagi, oswoiła się z wielu rzeczami, straszącemi ją poprzednio, i ta jej ponowna pielgrzymka miłosierna była już urządzona na skalę szerszą. Przewertowała Pomorze, Prussy Wschodnie i Zachodnie, aż po samą granicę; była w Szczecinie, w Gdańsku, Poznaniu, Grudziążu, Toruniu; razem otworzyło się przed nią dwadzieścia kilka twierdz i kazamat pruskich, gdzie wstępowała zawsze, jako anioł pocieszenia, anioł ratunku dla ciał i dusz. W tej też podróży widziała się z cesarzową Augusta, która pierwsza zażądała tego.

W czasie przebywania w Berlinie otrzymała list od sekretarza dostojnej pani, oświadczający wolę cesarzowej, aby była u niej. Już poprzednio wiele osób dobrej woli radziło jej to uczynić; wiadomem też było ogólnie, że cesarzowa okazywała się dobrą i łaskawą na jeńców francuzkich, wskutek czego znalazły się nawet dzienniki niemieckie dość zuchwałe, aby czynić jej z tego miłosierdzia winę: brak patryotyzmu i sympatye francuzkie. Były to sympatye ludzkie duszy szlachetnej, użalenie się chrześcijańskie nad cierpiącymi; ale szowinizm zdziczały nie rozumiał tej rzeczy, którą przecież missyonarka francuzka odczuwała głęboko i tylko jakaś dumna obawa, aby jej nie posądzono w Berlinie, że żebrze u cesarzowej niemieckiej zasiłku na spełnienie dzieła swego, wstrzymywała ją od tego kroku. Teraz przecież zapora ta upadła. Pośpieszyła więc na wezwanie, otrzymała posłuchanie zupełnie prywatne, trwające przeszło godzinę, i wtedy-to cesarzowa Augusta obdarzyła ją orderem Krzyża Czerwonego, który—dodać trzeba, został zdjętym z jej własnej piersi, aby ozdobił pierś szlachetnej Francuzki. Koralia Cahen, wychodząc z pokoi cesarzowej, unosiła i coś więcej jeszcze — wielkie rozradowanie serca, bo wiadomość, że jeńcy francuzcy zostaną wypuszczeni na wolność przez ułaskawiający ich dekret cesarza Wilhelma. Już rzecz została postanowioną na radzie ministrów pod wpływem księcia następcy tronu Fryderyka, jak mówiono w Berlinie i tylko cesarz zwłóczył jeszcze z podpisem, gdy naraz zaszedł we Francyi wypadek. Dwóch wieśniaków, górali ardeńskich, Tonnelay i Bertin, zabiło żołnierza niemieckiego. Sprawa została wytoczona przed sądy francuzkie i ułaskawiono przestępców na zasadzie niepoczytalności, wywołanej przez rozdrażnienie patryotycznego uczucia.

W Berlinie oddziało to jak iskra na proch rzucona. Nie mogło już być mowy o żadnych aktach łagodnej ludzkości cesarza. Cesarzowa wytłóma-

czyła to zmartwionej kobiecie, że teraz nawet sam cesarz nie mógł uczynić tego bez dotknięcia uczuć narodowych. Przecież wieczorem tegosamego dnia przysłała jej dla jeńców 300 franków, ale list, który temu towarzyszył, był tylko podpisany: Augusta.— Czyniła to kobieta dobrego serca, a nie panująca niemiecka.

Raz jeszcze i wkrótce po tej drugiej podróży Koralia Cahen znalazła się w Niemczech. Teraz przecież była to delegatka stowarzyszenia opieki nad rannymi: „Société des secours aux blessés“, które uznało wreszcie jej zasługi, uczuło, że jej czyny są aktami szlachetnej ludzkości i miłości Francyi. Teraz, nietylko postać tej kobiety wyrosła już ludziom przed oczyma do miary bohaterskiej, ale *Stowarzyszenie* potrzebowało jej dla siebie. W niemieckiem ministeryum spraw wewnętrznych wypracowano memoryał: ilu Francuzów zostało wziętych do niewoli lub podjętych przez ambulanse niemieckie na polu bitwy? a z tych ilu zostało wyleczonych, ilu umarło i złożyło kości swoje w ziemi niemieckiej? Należało posiadać ten regestr smutny, tę artmetykę żałoby narodowej, i dla osiągnięcia celu zwrócono się do niej. *Stowarzyszenie* zaprosiło ją do grona swego, zaprosiło do współudziału, do współdziałania, którego nie odrzuciła. Udała się po raz trzeci do Niemiec, do Berlina, gdzie już ją znano i gdzie przychylność cesarzowej prostowała jej dróg wiele. Po dziesięciu dniach rokowań z władzami pruskiemi ważny dla Francyi dokument wydany jej został w kopii wierzytelnej, za co *Stowarzyszenie* złożyło jej podziękowanie urzędowe.

Gdyby o to chodziło, to miała już tego dość — dziękczynień i uznania ludzkiego.

Były przecież wśród wyrazów tego obudzanego ogólnie szacunku niektóre wyżej przez nią cenione i silniej, tkliwiej wzruszające jej serce, jak tego ślad znajduje się we *Wspomnieniach*. Jej lazaret w Vendôme mieścił czasem taką liczbę rannych, że brakowało obsługi, infirmerów, których zaczynało niewystarczać. Siostry miłosierdzia, to przecież najdoskonalsze pracownice na tem polu miłosierdzia i poświęcenia, ale ona zrazu nie śmiała zwracać się do nich. Nie była Chrześcijanką, wyznawała religią mojżeszową i bała się: zali zechcą podać jej rękę i stanąć wspólnie z nią do dzieła? Lecz omyliła się. Nietylko że siedm świętobliwych tych niewiast nie zawachało się spełniać wraz z nią poświęconej pracy miłosierdzia, ale spotkał ją z ich strony taki dowód uznania, że ona zapisuje go na kartach *Wspomnień*, jako tytuł swój do chwały — jako chlubę swoję. Nad sześciu młodszemi była jedna starsza, i ta po pewnym czasie przyszła do niej, mówiąc, że choć wyznanie religijne różni ją od nich postanowiły jednak dawać jej tytuł, jaki wśród ich klasztoru nosi przełożona: nazywać ją *Matką!* —Zasługujesz pani na to,—dodała mówczyni,—jako przewodniczka nasza i robotnica gorliwa w dziełach ofiary, której poświęciłaś życie.

Jest tam jeden jeszcze fakt wzruszający w tem życiu. Matką nazwał ją też biedny, umierający młodzieniec, jeszcze za czasów jej przebywania w Metz. Bitwa pod Ladonchamps, 7 października, zasłała pole ciałami francuzkiemi. W przyległej wiosce Woippy składano rannych w kościele, a gdy ten zapełniony został,—wzdłuż ulicy wioski, na placu—gdzie się dało! Na wschodach kościelnych leżał bardzo młody biedak z kulą w piersi. Musiał umrzeć, ale męczył się strasznie, bo oddychanie było boleścią, i ona, siadłszy przy nim, podniosła mu głowę, aby mniej cierpiał, a że chłodno było, okryła go swoim szalem. Gdy zaszły wozy, aby przewieźć ich do lazaretu w Metz i on, przebudzony z lekkiej drzemki, spostrzegł co się dzieje wkoło niego, przytulił się do niej.—Mamo... szepnął—weź mnie ztąd... pojedźmy...

W nocy, która wkrótce zapadła, a miała być dla niego ostatnią, gdy przechodziła koło jego łóżka, on znów się ozwał: — Mamo! Brała to za gorączkę, ale jej powiedział potem: — Tak jesteś dla mnie dobrą, jak matka...

Syn tej matki, tak dobrej, że macierzyństwo, stawało się w jego umyśle synonymem dobroci, umarł o świtaniu następnego poranku, a ona pisze o tym zgonie ze smętnością rzewną, bo i ona była też matką osieroconą—matką, która straciła swoje dzieci. Zbolała: zwróciła się z ofiarą serca do synów innych matek Francyi i z powodu wyżej przytoczonego faktu pisze: — „Je faisais tous mes efforts pour mériter ce doux nom, que je ne croyais plus jamais entendre.“

Szlachetna to jest natura stronami wszystkiemi a obok siostry miłosierdzia mieszka w jej piersi istota artystyczna. Jest ona muzyczką znakomitą, jest rzeźbiarką utalentowną. Uczennica rzeźbiarza Hanneaux, poświęca wiele chwil wolnych tej sztuce, która stanowi jej zajęcie najmilsze. Co Czwartek widzieć ją też można w krześle Teatru Francuzkiego, a Jakób Normand tak ją opisuje, tam widzianą: „Son front d'un dessin ferme et réflechi, couronné de cheveux blancs, semble s'illuminer par instants, un sourire passe sur sa bouche mélancolique, et on sent qu'il y a là une intelligence d'élite — une femme, qui a beaucoup vu, beaucoup souffert.“

M. Ilnicka.

SERCE I GŁOWA.

(Dokończenie.)

Amicis, opierając na koleżeństwie szkolnem pierwsze zawiązywanie stosunków towarzyskich młodego chłopca, uczy go wcześnie żyć z ludźmi w sposób najprostszy i najnaturaliejszy, bo oparty na wzajemnej sympatyi i zgodności usposobień. Szkoła przedstawia świat w miniaturze; znajdują się tu obok siebie nietylko rozmaite charaktery, ale i sfery towarzyskie, wśród których ukazuje się przedewszystkiem—człowiek. Jest on wszędzie i na każdym stopniu uspołecznienia jednakowy: lepszy, gorszy, wyższy, niższy; istnieje przecież nić, która wszystkich łączyć powinna: miłość bliźniego. Kto z miłością wyciąga rękę do ludzi, odbiera po większej części miłość, bo postępowanie jego zatłumia, w złych nawet, ich złe skłonności, rozzbraja je i łatwiej też człowiekowi takiemu jest iść przez życie.

A co więcej, i innym życie on ułatwia, upięknia je, bo dotknięcie jego ciepłej dłoni każe wywiązywać się serdecznemu ciepłu w piersiach tych ludzi, którym ją podaje. Mantagezza chce to działanie przez serce uzupełnić, łącząc z niem działanie głowy, i ostrzega wychowywanego w ten sposób chłopca przed różnemi zboczeniami człowieka, które są nierozumem. Aby mu to wykazać, stosuje do nauki moralności metodę poglądową i jego wuj Franciszek po długich rozmowach z siostrzeńcem, dowodzących mu, co jest w życiu cnotą i zasługą—skarbieniem sobie dobra i piękna duchowego, przedstawia mu na rozmaitych osobistościach ludzkich okazy wad i błędów, ze źródła nierozumu płynących, a przedkościelny plac w San Terenzo służy mu za obserwatoryum. Niedzielne zbieranie się tam ludności przedstawia materyał do studyów, i oto jednego niedzielnego poranku, siadłszy na wschodach, wiodących do przedsionka świątyni, smutnie potrząsa głową i mówi siostrzeńcowi z żalem, jak bardzo fałsz rozwielmożnił się w ostatnich czasach między ludźmi.

Mnóztwo osób kłamie, bo mnóztwo osób chce uchodzić w oczach innych ludzi za to, czem nie są. Kłamie, naprzykład, człowiek ubogi, gdy przez lichą, małoduszną próżność chce uchodzić za bogatszego, niż jest; kłamie człowiek zajmujący w towarzystwie miejsce niższe, gdy zapomocą pozorów pragnie stawiać się wyżej, niż może. Jest to nierozsądek i błędne pojęcie równości między ludźmi, bo ta nie polega na zewnętrznej stronie człowieka—na tem, co kto ma w kieszeni, co kto nosi na grzbiecie. Ponieważ nigdy wszyscy jednako bogatymi być nie mogą—ani też wszyscy zajmować jednego i tegosamego miejsca w społeczeństwie—bo z natury rzeczy muszą istnieć różne rodzaje pracy, tak ze względów na różne potrzeby życia, jak i na różne uzdolnienia ludzkie: zatem nie może panować nigdy równość pojęta materyalnie. Kto ją w ten sposób rozumie, kto, naprzykład, będąc ubogim, sili się wyrównać bogatym lub bogatego choć pozornie udawać, ten właśnie ideę równości ludzkiej podkopuje, bo przenosi ją na pole, nietylko nizkie, nędznie poziome, ale takie, na którem jej nigdy być nie może, póki będą istnieć w człowieku różnice tak zdolności, jak cnót i wad, wpływających na rozdział i zachowywanie wartości majątkowych.

Ludzie, jako tacy, są sobie najzupełniej równi; różnic w równości, na człowieczeństwie opartej, nie może, nie powinien stanowić ani majątek, ani urodzenie, ani nawet wyższe lub niższe zdolności i wyrobienie umysłowe; wszyscy ludzie uczciwi są też sobie równi, na jakimkolwiek szczeblu drabiny społecznej znajdować się mogą. Są tylko nierówności dobrych lub złych dróg życia, wiedzionego zacnie i podniośle, lub nędznie i nizko. Tu zaś nie widzi różnicy między ludźmi tylko materyalista, który uważa człowieka za związanego, jak źwierzę, przez instynkt i żyjącego według popędów, które mu każą doznawane pragnienia i appetyty zadawalniać. To też ludzie, którzy nie są wyznawcami takich doktryn — ludzie wierzący w ducha i wyższą godność człowieka, w wolę wolną, której zasługą jest tryumf cnoty nad niecnotą,— tacy ludzie nie bratają się z podłymi i lichymi, cofają rękę czystą przed ręką zbrudzoną i wytwarzają wśród społeczeństwa opinią, która jest rękojmią szlachetnego nastroju umysłów i poręcza stan moralnego zdrowia jego członków. Świadczy o tem historya. Upadek opinii poprzedza zawsze upadek sił i czerstwości narodu, bo są to suchoty ducha.

Wuj Franciszek długo i pięknie, dowodnie wyłuszcza rzecz siostrzeńcowi, dodając przecież, że nie uważa tego za złe, jeżeli ktoś, czujący w sobie iskrę, którą zapala chęć wyższego wśród ludzkości stanowiska, dąży ku niemu drogą zasługi i dobra ogólnego. Inaczej nie byłoby wśród ludzkości postępu, nie byłoby wielkich przewodników ku celom wyższym—ambicyi czynów wzniosłych, i tylko dla takich może istnieć w tym kierunku ostracyzm moralny, którzy pysznie chcą się nad stan swój wynosić, wstydząc się pochodzenia swego z rodu pracowników ubogich. Dla szlachetnych i rozumnych nie jest nigdy poniżeniem pochodzenie z rodziców ubogich, urodzenie się w chacie lub na poddaszu, tak, jak niéma żadnej podstawy rozumnej poniewierać godnością przodków swoich. Mantagezza pisze: — „Gdybym się był urodził hrabią lub księciem, nie uważałbym sobie za ujmę moralną używać tytułu dziadów, czy pradziadów moich, którzy czynami swemi zapisali się w historyi kraju. Bez zazdrości, ale też i bez ironii, nazywam hrabiego hrabią, barona baronem; ale wstydziłbym się śmiertelnie jakikolwiek tytuł kupić, czy wyprosić sobie przez giętkość krzyża.“

Wynoszenie się sztuczne nad swój stan uważa też Mantagezza za coś bardzo nędznego. Wolałby—jak mówi przez usta wuja Franciszka, być ubogim, lub chorym, niż usposobieniu takiemu podlegać. Mienia można się pracowicie dorobić; z choroby wyleczonym zostać; ale człowiek udający to, czem nie jest „to coś, jak ptak w wodzie, ryba w powietrzu, roślina, korzeniami do góry rosnąca—coś potwornego, błazeńskiego, coś, co mi sprowadza widokiem swoim rozdrażnienie nerwowe, bo się sprzecza z symetryą, porządkiem, harmonią ładu ogólnego.“ Na dowód tego pokazuje siostrzeńcowi stojącego przed kościołem młodzieńca, syna miejscowego propinatora, który oddany do szkół, uczyć się tam nie chciał i ztąd nie uzdolnił się do żadnego urzędu, do żadnego wyższego stanowiska w świecie, a stan swój porzuciwszy, jest teraz doradzcą pokątnym; człowiek lichy, wiodący istnienie liche, ale w cylindrze na głowie, przy zegarku z brelokami, z fryzującą się brodą. Ktoby go chciał zblizka obserwować, dostrzegłby prędko, że ten elegant, pozując na pańskość, szczęśliwym jednak przytem nie jest, ani jako pan, ani jako wieśniak, i gdyby mógł w tył się wrócić, wolałby pewno ojcowskiego zawodu się trzymać: być na nim według miary położenia swego dostatnim i szanowanym, używającym darów losu z zadowoleniem.

Mantegazza nie pominął przy tych uwagach swoich kobiety. Życie nad możność, nad stan, czyni między kobietami właśnie ofiar najwięcej. Strojnictwo i, chęć upiększania się, chęć naśladowania klas wyższych, czy bogatszych, pociąga je bardzo licznie i skromna praca dawna wśród ścian domowych—praca, jakiej oddawały się matki, widząc w niej obowiązek, zdaje się córkom czemś nizkiem – zdaje się przesądnem poniżaniem kobiety i spychaniem jej na stanowisko podrzędne. Szukają czego innego, znajdują bardzo niewiele, i życie zwichniętem zostaje, przepełniając goryczą serca biednych poszukiwaczek dróg nowych, z pogardą patrzących na stary bezpieczny trakt życia.

Jest to w ogóle nieszczęściem wieku, nieszczęściem fałszywie pojętej równości, i nigdy nie było tylu ludzi złamanych przedwcześnie, wykolejonych, cierpiących braki ciężkie, przez pragnienie przerzucania się w sfery wyższe. Ten, któryby mógł na właściwem sobie miejscu używać dostatku, przez pięcie się w górę zostaje nędzarzem i męczennikiem. Mantegazza pragnie też coś, jak staropolskiego strychulca, o który Pol modlił się do Boga. Rodziców, którzy wychowują dzieci bez owego, praktyczny rozum przedstawiającego trzymania się pracy odpowiadającej położeniu, porównywa on do wróbli, któreby chciały składać jaja w gniazdo orle. Że przecież Mantegazza nie jest wstecznikiem, odwracającym się od ruchu swego wieku, świadczy stanowisko, zajmowane przezeń w literaturze włoskiej, gdzie przeciwnie zalicza się do stronnictwa naprzód dążącego. Ale patrzeć umie i widzi, że jest zamęt, że jest wykrzywianie pojęć i tłómaczenie ich sobie opaczne, a że uczciwy i sumienny, więc złe wykazuje.

Chęć jednakowego używania wszystkich, bez możności zrównania środków; wstydzenie się stanu swego i jakgdyby maskowanie go przez przybieranie pozorów fałszywych,—wywiera na niego wrażenie przykre, bolesne. Woła, że ludzie, którzy się zapierają w ten sposób pochodzenia swego, znieważają rodziców, bo wypierają się ich przed światem.

A jest on i poetą; naturę, więc wieś, kocha gorąco; stan pracownika wiejskiego maluje miłośnie, godność rolnika stawia wysoko.— „Henryku! kochaj ziemię! woła na włoskiego chłopca, przez usta wuja Franciszka. — Ona ci jest matką i będzie piastunką ostatnią, która cię na łono swoje weźmie... Kochaj ziemię, Henryku, miej na własność choć grzędę jej jednę, a wtedy zasadź tam rękami własnemi drzewo, które cię przeżyje i dzieci twoje używać będą jego cienia, jego kwiecia i owoców, opowiadających im o znoju twego czoła, którym podlewałeś jego płonkę."

Trzymanie się ziemi, niewypuszczanie jej z rąk ma dla niego znaczenie miłości Włoch, i mówi dalej: — „Czczę ziemię, oddycham z rozkoszą jej wonią i gdy po dłuższej suszy deszcz upadnie, a rodzinny aromat ziemi w powietrze się uniesie wychodzę, nie zakrywając się parasolem, aby pełnemu poezyi urokowi tej chwili oddać się w całości i wciągam w pierś zapach ożywczy!"

— „Ziemia to nasza *alma parens!*—mówi gdzieś dalej, a dalej jeszcze dodaje:—„Kąt ziemi rodzinnej zabezpiecza zdrowie naszego ciała i poezyą duszy—darzy bogactwem wszelakiem. Trzymaj się ziemi, Henryku!"

Książkę można podzielić na dwie, do pewnego stopnia oddzielne, części. Drugą z kolei stanowią uwagi nad zawodami mężczyzny, których cel i znaczenie w życiu ogółu przedstawia ten wuj dobry siostrzeńcowi w postaci objaśniających je wskazówek, co razem tworzy jakoby poradnik dla tej ważnej chwili w życiu młodzieńca, gdy przyjdzie czas obierania sobie stanu. Każda uczciwa praca jest dobrą, przecież nie w jednakowy sposób przypada dla wszystkich: trzeba też dobierać ją sobie według uczuwanego powołania, to jest według skłonności i wybitniejszych uzdolnień naszych. A każdy zawód ma głębie swoje, kopalnie nieznane nam. Dnie poświęcanej mu pracy powinny być jakoby uderzeniami oskarda, przez które dobrać się jedynie można do tych skarbów ukrytych. Ujawnią się nam, gdy przyłożymy się pracowicie do spełnianego obowiązku, i to jest nagroda pracy wykonywanej sumiennie, z zamiłowaniem—nagroda, której nie otrzyma nigdy leniwy, pracujący z przymusu tylko, pod naciskiem konieczności. Poza dzisiejszym jej dniem, który przynosi chleb potrzebny ustom; poza jutrem, któremu ta go praca przyrzeka, jest jeszcze pojutrze: to coś dalekiego, co jednak przeczuwamy, co majaczy nam przed oczyma, jak marzenia snów naszych, i jest tęsknotą duszy... To ideał –coś wielkiego, coś nieskończonego, czego pragniemy: Bóg obietnic religijnych i twórca dobra, prawdy, piękna! Bez ideału niéma szczęśliwego życia. Można na złotych lub cynowych talerzach jadać; można ze srebrnych pucharów lub szklanych kieliszków pijać, sypiać pod baldachimem lub na garści słomy, zawsze przecież używanie materyalne ograniczonem być musi—ograniczonem jest przez naturę tak, że żaden człowiek przejść tu nie może poza kres pewien i dla szczęścia naszego jeszcze to nie grunt podstawowy, choć się tak wydaje niejednemu, zwłaszcza zdaleka. Szczęście—szczęście prawdziwe jest wtedy tylko, gdy życie ma jakiś cel górny—ideał! Wtedy też czyny nasze mogą się rzeczywiście z uczuciami serca wiązać i być dla serca zadowoleniem.

Nie mniej rozsądek powinien czynić się przewodnikiem naszym i w tym zakresie. — „Serce i głowa razem—mówi wuj Franciszek—to dopiero doskonałe zjednoczenie wszystkich sił myśli i uczucia. Serce bez głowy znaczy tyle, co statek i jego żagle — bez steru! Głowa bez serca to na odwrót, statek bez żagli...

Wśród tej rozmowy starca z młodzieńcem daje się słyszeć wystrzał armatni i Henryk pyta wuja: Co to jest?—„Jest to zegar Rzymu — odpowiada stary marynarz. Gdy tam wskazówka oznaczy południe, telegraf daje o tem znać wszystkim obwarowanym miastom Włoch i godzina uderzająca na Kapitolu bije w całych Włoszech."

— Jedno jest serce naszego kraju—dodaje stary ze wzruszeniem — jedno serce, które bić musi pulsem żywym we wszystkich jego członkach. — „Henryku! kochaj Włochy!—woła następnie—kochaj je zawsze, kochaj tkliwie, kochaj głęboko. Jest to najpiękniejsza kraina świata, ta ziemia nasza! Ja ci to powiadam, którym widział wiele innych."

„Pozdrówmy stary Rzym" — kończy wreszcie, a tak on, jak siostrzeniec odkryli głowy i w zadumie, ze wzruszeniem uczuć serdecznem szli drogą, która wiodła ich z powrotem do San Terenzo.

Talent pisarza sprawia, że książka pisana dla młodzieży zajmuje każdego intelligentnego czytelnika. Każdy też może ją czytać z przyjemnością, z zadowoleniem, a rodzice z wielkim dla celów wychowania pożytkiem.

M. Ilnicka.

SŁOWA A CZYNY.

POWIEŚĆ

SEWERA.

(Dalszy ciąg).

VI.

— Wspomniałeś mi, że u Radwana polowanie na dzikie kaczki wyborne. Staw podbity trzciną, dobra łódź, psy... prawdaż to wszystko?

— Najzupełniejsza.

— Jedźmy tam—zawołał Adam.

— Dziwię się twej odwadze—odparł Tadeusz.

— Nie wypędzi mnie przecież z domu za to, że jestem synem stańczyka.

— Najpierw pojedziesz zemną, a powtóre, Radwan, jako człowiek rzetelnie postępowy, rozumie, że syn nie odpowiada za ojca. Jeżeli się dziwię twej odwadze, to tylko ze względu na twego ojca i na przyszłą twoję karyerę. Człowiek, do którego chcesz jechać, jest źle widziany u rządu.

— Ojciec mnie nie kontroluje i może nie wiedzieć, gdzie byłem.

— A jeżeli Radwan będzie ci chciał dowieśdź, że liberały są dobrze wychowanymi.

— To zbyteczne, bo i ty jesteś liberałem, a zarazem wzorem dobrego wychowania.

— Dziękuję ci, lecz Radwan nie wiedząc, że to jest zbyteczne, przyjedzie do ciebie.

— Przyjmę go otwartemi rękoma. Ojciec mój, zapewniam cię, mimo swej pozornej szorstkości, jest gościnnym. A co do obaw przed rządem – dotąd jestem „cywilem." Za przeszłość wkaryerze urzędniczej nie odpowiada się.

— A więc jedziemy! Dzień śliczny, pogoda, cisza w naturze, na błotach grabińskich spotkamy parę stad.

— I poznamy - dodał Adam—młodzieńca, o którym mówią dużo w powiecie; boją się go, źle jest widziany przez rząd, a bardzo dobrze przez kobiety. Ma zaledwie trzydzieści lat, a stworzył już obok siebie ludzi entuzyastycznie wierzących w niego. Są to rzeczy ciekawe. Któż wie: czy mnie ten młody bohater nie oczaruje dotyla, że i ja pójdę do jego kościoła i zacznę się modlić do niego?

— Nie pójdziesz — zdecydował stanowczo Tadeusz.

— Nie przesądzaj.

— Przesądzam. Ludzie otaczający Radwana mają wielki jeden przymiot: gorącą wiarę w zasady, które głoszą i za które zawsze i wszędzie walczyć potrafią.

— A ja?

— Ty nie masz zasad i walczyć nie umiesz. Tybyś nie umiał walczyć nawet za tę, którąbyś kochał.

— Zaczynasz mi mówić komplimenta.

— Bronię tylko swych przekonań, a raczej pewności siebie w znajomości ludzi.

— Mój drogi, powiedz mi: czy mnie masz za stanowczego niedołęgę?

— Nie za niedołęgę, lecz za człowieka, któremu, gdy pokażę dwie drogi, zawsze wybierze łatwiejszą, dogodniejszą, gładszą.

— A gdy mu pokażą tylko jednę? — spytał Adam.

— W praktyce życia niéma jednej drogi, a gdyby była, nie pójdzie nią, zostanie na miejscu, będzie czekał, tem więcej, gdy, jak ty, może zawsze czekać.

— Dzisiaj, mój Tadeuszu, jesteś filozoficzno-sceptycznie usposobiony, rozdrażniony, nawet zły. Uciekajmy do Radwana, pod opiekuńcze skrzydła człowieka gorącej wiary, właściciela stawu podbitego trzciną i paru stad dzikich kaczek.

Karol Radwan, stary szlachcic, lecz młody człowiek sierota, wychowany w Warszawie przez stryja, po ukończeniu uniwersytetu odziedziczył po nim dobrą wioskę i osiadł, sam nie wiedząc, jak się to stało, w Galicyi.

Dom, umeblowanie całe, otoczenie, miały cechę przedewszystkiem szyku warszawskiego. Sprzęty, książki, dzienniki, służba, konie, uprząż, psy nawet, bo charty, i on sam—przypominały żywo Królestwo, Warszawę, nawet Paryż, lecz nic a nic Wiednia, nic z tego szyku austryackiego, królującego w Galicyi. Odrębność ta uderzała na pierwszy rzut oka, dając wszystkiemu cechę pewnej oryginalności i elegancyi.

Przybyli nie zastali gospodarza; przyjął ich służący, ubrany zangielska powarszawsku, wprowadzając do pokoju swego pana.

Dywan angielski, otomany tureckie, nizkie stoliki, wspaniałe biuro na środku, szkice akwarelowe na ścianach, w jednym rogu zbrojownia, w drugim fajczarnia; angielszczyzna pomieszana z turecczyzną, dopełniały się wzajemnie. Na biurku leżały: „Prawda" obok „Przeglądu Tygodniowego," „Ateneum" obok „Kuryera Lwowskiego" illustracye warszawskie i gazety rolnicze. Francuzka literatura reprezentowana przez Zolę, Maupassanta, polska przez Orzeszkową, Jeża, Prusa... świat zupełnie nieznany Adamowi. Oglądał się i patrzał.

— Zaczynasz się dziwić — odezwał się pofrancuzku Tadeusz — jak na ciebie i na początek, to bardzo dużo. Zwrócił się do służącego, pytając o pana. Adam tymczasem zaczął się przyglądać akwarellom porozwieszanym na ścianach.

— Wszystko oryginały—mówił zcicha—nazwiska polskie, robota dobra, daty z ostatniego dziesiątka lat. U nas, oprócz drzeworytów i kopii niezręcznie imitujących stare oryginały—nic.

— Bo wy jesteście czołem, rozumem, szlachetnością i pięknością narodu — mecenasami jego sztuki, protektorami jego cnót; a ci postępowcy, warchoły, krzykacze — jego zgubą, zatratą i zniszczeniem. I dlatego wy macie drzeworyty i stare kopie, oni—oryginały.

— Tadeuszu, na Boga, o cóż to jesteś dziś tak niesłychanie rozdrażniony? Z małej kwestyi drzeworytów i skromniutkich szkiców akwarellowych, snujesz górnolotne tyrady.

— Któż to określił granicę, gdzie się kończą małe a zaczynają wielkie kwestye? — odparł Tadeusz. — Przepraszam cię, a zarazem przyznaję, że dawny spokój grecki, który był jedynym moim przymiotem, opuszcza mnie. Na starość staję się zgryźliwym, złym.

— W twoim wieku nie mówi się o starości— pochwycił Adam. — Jesteś zmęczony zbytkiem pracy.

Służący oznajmił o zastawionem śniadaniu. Wódki, likiery, wino hiszpańskie, szynka, rybki w blaszanych pudełkach, ser, świeży chleb i wyborne masło, zastawa skromna, lecz gustowna—zrobiły jaknajlepsze wrażenie na Adamie. Wódka i likiery były wyborne, wino hiszpańskie niepodrobione, ryby w najlepszym gatunku. Był smakoszem, rozkoszował się, podniecając winem dobry humor.

Przed bramą wjazdową koń zarżał wesoło.

— Pan—szepnął lokaj. Za chwilę wbiegł do pokoju trzydziestoletni mężczyzna szczupłej budowy, lecz dobrze wygimnastykowany. Uściskał serdecznie Tadeusza, przywitał Adama.

— Pierwszy raz błogosławię moje błota za sprowadzenie mi tak miłych gości—rzekł, dowiedziawszy się o celu wizyty..

Adam chciał również odpowiedzieć komplimentem, lecz się zaplątał i urwał. Gospodarz zawołał do służącego.

— Stefanie, dziękuję ci za pamięć o moich gościach. Stefan skłonił się swemu panu.

Adam ciekawie przypatrywał się młodemu człowiekowi.

Na śniadawej twarzy, okolonej złotawym zarostem, widać było nieustanną pracę myśli i walkę namiętności. Blado-niebieskie jego oczy, czoło szerokie, przedzielone na dwie połowy tajemniczą kreską, usta wydatne i prosty duży nos, wąsy ciemniejsze od zarostu brody, a brwi ciemniejsze od wąsów... złączone w całość, wszystko to przedstawiało dziwną mieszaninę marzycielstwa, zapału i energii. Włosy blond, rozrzucone w artystycznym nieładzie, dodawały tej twarzy więcej jeszcze uroku. Lubiał mówić i rozprawiać, gdy mu się do tego sposobność nadarzyła.

— Tadeusz z wielkiego świata — odezwał się wesoło—z przybytku poczty, telegrafu i rady powiatowej: niechaj nam opowiada o ostatnich wypadkach zaszłych w Paryżu, Berlinie i naszym powiecie. Mieszkańcom wsi,—zwrócił się do Adama—odległości zwiększają wrażenia. Zdaje nam się, naprzykład, że w mieście powiatowem rozstrzygają się losy całego kraju, że tam ludzie o wszystkiem są wybornie poinformowani.

— Być może — odparł Adam—lecz nadto blizko mieszkam miasteczka, codzień prawie w niem jestem, i dlatego zapewne nie doznaję tych wrażeń. Nie zajmuję się polityką i mało co o niej wiem, a nie zajmując się zupełnie sprawami powiatu, o nich to już nic nie wiem.

— Podziwiam ten brak wszelkiej ciekawości. Musi być panu bardzo dobrze na świecie. Unikanie wszelkich wiadomości wyradza tę przedziwną obojętność na rzeczy ziemskie i troski życia.

Uśmiechnął się ironicznie.

— Nie widzę, abyś pan miał powody czuć się nieszczęśliwym—odpowiedział obojętnie Adam.

— Nie było szczęścia w domu, bo go nie było w ojczyźnie, — tłómaczy mnie stary wajdelota..— Lecz u nas w Galicyi mówi się i myśli o zwężonej ojczyźnie, zaściankowej, drzemiącej pod płaszczem Habsburgów. Gdyby się przynajmniej tuczyła, lecz drzemie biedaczka na głodno i chłodno.—Wstał.

— Proszę panów do mego pokoju na cygara. Na otomanach będzie nam wygodniej. Obiad za chwilę podadzą i zaraz na błota. Kollega mój i przyjaciel, przysłał mi z Kaukazu wybornego legawca: porozumiewa się wzrokiem z myśliwym.

— Masz pan przyjaciół na Kaukazie?

— Kollegę z uniwersytetu: jest tam inżynierem. Gdybym miał tylko czas, odwiedziłbym go.

Adamowi wszystko to wydawało się nowem i nieco dziwnem; Radwan wziął go za deklamatora i w połowie blagiera.

— Miałbyś pan odwagę jechać na Kaukaz?— spytał naiwnie.

— Tosamo pytanie mógłbym panu zadać co do Paryża. Koleje żelazne i statki parowe są wszędzie jedne i tesame.

Cygara były dobre, otomany wygodne; Tadeusz, zamyślony i smutny, nie odzywał się. Adamowi zaczynało być wygodnie i swobodnie, młody gospodarz zajmował go coraz więcej.

— Mówiłeś pan o braku czasu—odezwał się.— Jesteś bardzo zajęty?

— Odziedziczony kawał ziemi jeszcze nie podniesiony do tego stopnia w kulturze, aby można było odpoczywać. Na dowód błota, które powinny i muszą być zmienione w łąki.

— Pozbawisz się pan przyjemnego polowania, nie wiedząc, czy się panu koszta wrócą.

— Ale wiem, że moim obowiązkiem podnosić kulturę i bogactwo kraju.

— Wszystko pan robisz z obowiązku i dla kraju?—spytał z figlarnym uśmiechem Adam.

— Wierzaj mi pan — odparł poważnie gospodarz—że w czynnościach naszych myśl o obowiązku i kraju uszlachetnia nas. Największy egoista, robiąc wszystko li tylko dla siebie, mimo to częścią, czasem połową, dzieli się z krajem i społeczeństwem, a nie ma tej przyjemności, jaką daje właśnie owa świadomość.

— Świadomość ta potrzebną jest i dla zaspokojenia naszej ambicyi—dodał Adam.

— Bezwątpienia — pochwycił gospodarz — bez tej przyprawy nic, albo bardzo mało dzieje się rzeczy na świecie. Gdyby, przepraszam, pański ojciec nie miał ambicyi, pan nie byłbyś dziedzicem milionowego majątku. Powinieneś pan mieć dużo wdzięczności, dla ambicyi. Co do mnie, dziękuję Bogu, że ją mam. Gdybym jej nie miał, niezawodnie zostałbym niedołęgą, mazgajem, może pół-idyotą.

Adam miał ochotę pochwalić się, że dotąd ambicya nie zapanowała w jego sercu, lecz dał pokój. Tadeusz, paląc cygaro, uśmiechał się nieznacznie, rad z odpowiedzi Radwana.

— Ojciec mój wszystko to, co zrobił, mógł zrobić z miłości dla mnie—odpowiedział spokojnie.

— Mógłby, gdyby mógł — odparł półgłosem Radwan. — Pragnienia są wielkie, lecz możność mała. — Spostrzegł się, że go unosi zwykłe rozdrażnienie, a bojąc się, aby nie był niegrzecznym we własnym domu.—Przepraszam—dodał żywo—jestem pozytywistą i w absolutną miłość nie wierzę.

— Nawet dla kochanki?

— Tem mniej. Kochankę pragniemy zawsze posiąść dla siebie, na wyłączną naszę własność: to dosyć.

— Karolu, czy ty nie wierzysz i w poświęcenie? — spytał spokojnie Tadeusz.

— W bezwzględne—nie. Znałem wielkich egoistów, poświęcających się dla najrozmaiszych celów.

— Dziwne są w panu sprzeczności — zauważył Adam.

— Sprzeczności zwykle wzajemnie się dopełniają, składając się na jakątaką całość. Tam, gdzie niéma sprzeczności, niéma kontrastu, niéma światła i cieni...

— Może być harmonia—dokończył Tadeusz.

— Raczej katarynkowa melodya. Jestem zwolennikiem muzyki przyszłości. Pozorne sprzeczności, zlewając się razem, dają prawdziwą harmonią.

Adam coraz więcej był zdziwiony i zaciekawiony. Nie spuszczał prawie Radwana z oczu, a Radwan chodził po pokoju z pewnością siebie i tem przekonaniem, że towarzyszy swych przerósł o głowę.

— Dużo jest w panu oryginalności — zauważył po chwili Adam.

— Może dla pana i Galicyi, lecz wszędzieindziej na świecie jestem najpospolitszą figurą. Myślę i mówię, jak tysiące innych.

— Nie dziwię się, że masz pan wpływ i zapalonych zwolenników.

Ze strony Adama był to kompliment, a zarazem zręczny zwrot do miejscowych spraw.

Karol się uśmiechnął łaskawie, panując jednak nad sobą, odpowiedział spokojnie:

— Są to tylko moi osobiści przyjaciele...

— Mów prawdę — odezwał się Tadeusz — są to twoi partyzanci, ludzie, których wyrobiłeś.

— Nie jesteś partyzantem pana Radwana? — zwrócił się Adam z zapytaniem do Tadeusza.

— Nie — odpowiedział — dzieli nas przestwór dwudziestu lat. Ja jestem z epoki upadku romantyzmu, Karol z rozkwitu pozytywizmu, materyalizmu, experymentalizmu, loiki, trzeźwości, faktów, zapału nazimno, bezwzględności...

— Bezwzględności w życiu i polityce — powtórzył Adam. — Tego przynajmniej w sprawach naszego powiatu nie widzę.

— I to dowód—dodał Karol—że wpływy moje są żadne, że przyjaciele nie liczni. Od pięciu blizko lat, jak mieszkam w powiecie, wszystkiego zdobyliśmy sześć miejsc w radzie powiatowej, a dwa w jej wydziale.

— Dlatego, że pan nie kandydujesz.

— Nie chcę się narażać na przegraną.

— Trzeba umieć ambicyą poświęcić dla sprawy — odparł Adam.—Najpierw dać się poznać, a potem żądać zaufania. Mało znam tutejsze stosunki, lecz jestem pod tem wrażeniem, że w powiecie jest tylko jeden człowiek, jedna znakomitość, jedna powaga.

— Powaga?!—wybuchnął Karol—raczej zmora, która nas dusi, ogłupia i ubezwładnia.

Tadeusz uważnie zaczął wpatrywać się w Adama.

— Jeżeli pan masz takie pojęcia o wpływie powag, a bezwzględność uważasz za siłę...

— Za siłę—powtórzył Karol, rozpalając się.— Lecz cóż poradzę sam? W powiecie głosów sześćdziesiąt, z tych mam do rozporządzenia dziesięć; w najszczęśliwszych wypadkach, licząc i żydów, piętnaście.

— Rozpocząć walkę na czele piętnastu. Raz, drugi, trzeci, zadziwić, olśnić wymową i oryginalnością, to czwarty raz zwykle się zwycięża.

— Adamie, nie poznaję cię — odezwał się rozdrażniony Tadeusz. — Gdzie się podziała twoja apatya?

— Zwykle w radach umiemy być energicznymi, lecz tylko dla drugich—odparł swobodnie Adam.

— Rada dobra—szepnął Karol.—Nie raz myślałem tą drogą pójść — dodał głośniej.

— Tem więcej, że odważne wystąpienie zjednywa zwykle poparcie — zachęcał Adam.

— Poparcie, które mogłoby być dla niego nieskończenie przyjemnem.

— Dzielisz poparcia na przyjemne i nieprzyjemne? — spytał Adam.

— Niezawodnie. Bo jeżeli poparcie żydów nie należy do przyjemności, to tem mniej dla Karola poparcie Stańczyków.

— Jeżeli tak, po cóż wygłaszać bezwzględność? — odparł Adam — potrzeba być konsekwentnym.

— Potrzeba być konsekwentnym — powtórzył Karol. — Przyznam ci się, kochany Tadeuszu, że twoje półśrodki zaczynają, zaczynają...

— Wyczerpywać twoję cierpliwość—dokończył Tadeusz.

— Nie moję cierpliwość, ale raczej same się wyczerpują, schną i zamierają.

— Przyjąłbyś poparcie Stańczyków? — spytał Tadeusz.

— Dlaczego nie? jeżeliby mnie do niczego nie zobowiązywało.

— I poszedłbyś torem radykalistów paryzkich, łączących się z monarchistami?... Tego-byś nie zrobił.

— Dlaczego nie? — wybuchnął Karol.

— Dlatego, że połączenie to wychodzi zwykle na niekorzyść Francyi.

— Korzyścią Francyi nazywasz panowanie opportunistów?! Przepraszam cię, ponieważ sam jesteś opportunistą....

— O tyle — przerwał żywo Tadeusz — że-bym się nigdy nie łączył z wrogami mymi dla pobicia nieprzyjaciela. Potrzeba być konsekwentnym.

— Lecz i potrzeba być konsekwentnym względem swych zasad. A odemnie należy postawić granicę wspólnej z nieprzyjaciołmi akcyi.

— Poszedłbyś razem ze Stańczykami, aby wywrócić uczciwego człowieka, który z niemi walczy?

(Dalszy ciąg nastąpi).

NOWINY PARYZKIE.

Paryż 31 Stycznia 1888 r.

Śmierć Arcy-księcia Rudolfa.—Wybory w Paryżu —„Gwałtu! co się dzieje?"—Tryumf Boulangera.—Paryż tańcujący.—Dobroczynność i skrzypce. — Stowarzyszenie Kobiet Francuzkich.—Bal w Wielkiej Operze. — Bal w Ratuszu. — *Mea culpa.* — Jak wygląda wystawa na Marsowem Polu.—Wieża Eifela. — Koniec jednej z naszych doktorek. — Zamęźcie panny Klemcke. — Śmierć malarza Cabanela. — Siemiradzki wybrany członkiem Akademii Sztuk Pięknych w Paryżu.—

(Dokończenie)

Nie koniec na tem. Podczas wojny te panie urządzają szpitale polowe, zostające pod rozkazami służby sanitarnej wojskowej; w czasie pokoju rekrutują i kształcą infirmerki, przeznaczone do pomocy Siostrom Miłosierdzia, tym bezpłatnym sprawczyniom wszelkiej cnoty i wszelkiego męztwa—płacącym za ten zaszczyt krwią swoją i życiem. Widocznie, że kiedy posuną się naprzód zbrojne zastępy miliona mężów, liczba sióstr będzie niedostateczną; zwiększą ją przygotowywane już podczas pokoju infirmerki.

O tem drugiem towarzystwie, które weszło z temi paniami do spółki, nie będę się tu rozpisywał. bo to płeć brzydka, i ma też racyą wpraszać się do spółki z temi, które są obrazem i przykładem miłosierdzia. Dosyć więc tej wzmianki.

Bal dany w Operze d. 19 Stycznia pod taką chorągwią był świetny w całem znaczeniu tego słowa. Ogromny teatr, świetnie przybrany i wystrojony, wyglądał czarująco. Przeszło 5.000 osób stawiło się na wezwanie; więcej zmieścić-by się nie mogło; zostało tylko wolne miejsce do tańca.

Cieplarnie miejskie zalały poprostu wnętrze zielenią i kwieciem. Przepych był niezmierny. Tańczono w wielkiej sali teatru i w wielkiem Foyer. Pani Koechlin-Schwarz, prezydentka stowarzyszenia kobiet, i pani Marulaz, sekretarka, kierowały wszystkiem i kierowały tak dobrze, iż, jak powiadają, przeszło 100.000 franków weszło do kassy. Za takie pieniądze można dać pohulać.

Jeszcze tylko dwa słowa o balu w ratuszu, pierwszym tego sezonu. Chociaż prześwietni członkowie rady miejskiej Paryża są po większej części najczystszym extraktem demokratyczno-anarchicznej socyałki, przecież, przyjmując u siebie wyborców swoich, nie żałują pieniędzy, (tychże wyborców) i dają bale iście królewskie, co do wystawy, oświetlenia, dekoracyi i splendoru złocistych salonów... A że w tym roku szczególną zwrócono uwagę w zaproszeniach na najnowsze pokłady społeczeństwa, była więc tu mieszanina, jak w Arce Noego!

Skromne westony ocierały się swobodnie o złocone mundury i czarne, klassyczne, a ohydne, fraki. Skromne sukienki drelichowe szły w zawody z powłoczystemi ogonami światówek i pół światówek, a nawet i ćwierć—nieubliżając nikomu. Wszystko szło w dobrym porządku, aż kiedy o północy przyszło do jadła i picia, już nie zupełnie było bezpiecznie docierać do stołów, bo gra w kułaki i łokcie dawała zaraz do poznania, że tu źwierzę, dotąd ukryte pod westonem lub frakiem, wchodzi w swoje prawa, krzycząc: „Wara do mojej kości!"

P. Carnot, mając u siebie zebranie, wykręcił się sianem i dobrze zrobił, bo w tym tabunie paryzkiej demokracyi dobrze jest trzymać się zdaleka. Wszystko to ściągało skromnemi fiakrami, noga za nogą, długim wlokącemi się ordynkiem; wszystkie chodniki w sąsiedztwie ratusza zajęte były przez robotników z poblizkich fabryk i zakładów, którzy, nie mając zaproszenia, chcieli przynajmniej napatrzyć się na tych, co je otrzymali.

To też, siedzące w tych fiakrach kobiety i panienki nasłuchały się pięknych uwag i przycinków, któremi je częstowano zprawa i zlewa, ku wielkiej uciesze woźniców, dla których był to pewien rodzaj zadowolenia, to natrząsanie się gawiedzi z głupich mieszczuchów, wyobrażających sobie, że za kilka franków mają prawo kazać się wieźć na bale do ratusza. Prassa upomniała się wprawdzie ostro o tak nieprzyzwoite utrzymanie porządku przez podwładnych pana prefekta policyi; ale ponieważ sprawa toczyła się między wyborcami siedzącymi we fiakrach, a wyborcami pieszymi, więc zostawiono kwestyą w zawieszeniu; bo bez wywołania bójki trudnoby coś mądrego wymyślić w tej mierze. Pospolite ruszenie wszędzie jest jednakie i, jeśli nie chcesz usłyszeć coś nieprzyjemnego, to, mój drogi mieszczuchu, siedź w domu i zadawalniaj się tem, co masz pod ręką, nie posięgając na srebrne półmiski ratuszowych ławników. Zresztą, oprócz niesłychanej ilości wypitych butelek i szklanek piwa, nic się ważnego nie stało.

Teraz muszę się uderzyć w piersi i powiedzieć: „mea culpa". Dwa lata temu, mówiąc o projektowanej tu wystawie na rok bieżący, o wieży Eifela, i o podziemnej drodze żelaznej, rachując na rozum i zdrowy rozsądek tutejszych ludzi, zaprzeczałem stanowczo możliwości uskutecznienia tych projektów. Omyliłem się; jedno tylko nie przyszło do skutku t. j. droga podziemna. Ale wystawa i wieża Eifela zrealizowane zostały przynajmniej, jako budowy... Chociaż—jak słusznie ktoś z dowcipnych ludzi zauważył, patrząc na ten eifelowski monument —widzi się, jakby olbrzymie rusztowanie, ale wieży bynajmniej. I rzeczywiście, ta ogromna żelazna, przezroczysta klatka—jest to ogromny słup, bez celu i bez żadnego użytku. W naszym więc wieku, pozytyzmu, bądźcobądź, jest to nonsens—i kwita.

Inaczej się ma z wystawą, i dziś, patrząc z wysokości Trocadero na to Pole Marsowe, na którem się wznosi ogromne, fantastyczne, ale nad wyraz malownicze miasto, tak, całe nowe jakieś miasto gmachów, świątyń i pałaców, trzeba zdjąć pychę z serca, przyklasnąć i zawołać Francuzom: „*Bravi*!"

Zrywając z tradycyą i rutyną, zamiast jednego, zwykłego budynku, zamiast owej zaszklonej szopy, zapełnili dziś oni całą niezmierzoną przestrzeń Marsowego Pola przeróżnemi gmachami, które przypominają najciekawsze pomniki świata. Widać tu kopuły olbrzymie, jakby S-go Piotra lub Św. Zofii obok wysmukłych strzał meczetów, obok maurytańskiej architektury pałaców — gmachy gotyckie i Odrodzenia—słowem: zachwycającą swoją rozmaitością całość, która tonie wśród bujnej zieleni drzew i kwiatów i czaruje bogactwem form i wdziękiem.

A potrzeba im przyznać, iż są to mistrze do urządzania i przyrządzania wszechrzeczy — najbieglejsi w sztuce naśladownictwa i przyswajania sobie pięknych i artystycznych objawów ducha ludzkiego. Dziś jeszcze wszystko to jest trochę w nieładzie tworzenia wewnątrz; ale kiedy się oczyszczą ulice i place, urządzą ogrody i aleje, kiedy to oświeci wiosenne słońce, zapełni tłum ciekawych, i wyroby świata całego — będzie to niezrównanej piękności wystawa, jedyna w swoim rodzaju i godna tego Paryża, który jakkolwiekbądź jest zawsze miłem miasteczkiem.

Odmówiwszy ten akt skruchy, śpieszę teraz do rzeczy bieżących, których oczekują czytelnicy i które czekają na mnie. *Bluszcz* opowiadał już wam o świetnie zdanych examinach i o świetnej obronie tezy medycznej panny Szulcówny z Warszawy. Dawniej już sam tu podnosiłem zasługi i zdolności panny Klemcke, która umiała zdobyć sobie internat. Dziś mamy niby epilog do przemówienia p. Charcota na examinach panny Szulcówny; i o tem chcę powiedzieć słówko. P. Charcot, jak pamiętacie, zakonkludował tem, „że w najprzyjaźniejszych warunkach powodzenia naukowego znajdą się jeszcze okoliczności, które nie pozwolą kobiecie spełnić swego zadania tak dobrze, jakby to mógł uczynić mężczyzna."

Czy ten argument doświadczonego lekarza i uczonego professora trafił do przekonania panny Klemcke; czy jest to fatalny wynik samej kwestyi „*przeznaczenia niewiasty*"—dosyć, że ta waleczna szermierka, która przełamała wszelkie zapory nauki, zwyczajów, samej natury prawie, — doszedłszy do celu, oto niedawno złożyła swoję doktorską czapkę, przywdziała czepiec swych matek i oddała rękę kolledze z fakultetu medycznego, doktorowi J. Déjerine'owi. Jaki będzie skutek tych dwóch głów medycznych w jednej czapce, kto tu będzie właściwie doktorem, a kto pomocnikiem? przyszłość to pokaże. Jak nateraz, młoda doktorka znajdzie w domowych zajęciach obszerne pole dla swej działalności, i można przewidzieć, że dawne naukowe zajęcia dopiero wówczas nanowo się obudzą, kiedy podrastające własne dzieci, jeśli ją los niemi obdarzy, będzie potrzebowała wdrażać w pewne naukowe *arcana*. Bo niepodobna rozwiązać tego zagadnienia inaczej: albo mąż będzie to truteń, którego żona musi odziewać i karmić własną swą pracą,—albo mąż zostanie rzeczywistym mężem, głową rodziny, a żona jego wierną towarzyszką i wspólniczką tej pracy, która ma głównie na celu ochronę rodzinnego gniazda—co Francuzi nazywają *génie tutélaire du foyer*.

Śmierć zabrała w tej chwili jednego z pierwszych mistrzów francuzkiej szkoły malarstwa. Urodzony w Montpellier d. 26 Września r. 1823—od lat najmłodszych miłował serdecznie tę sztukę, w której miał zająć przez pracę i talent — jedno z pierwszych miejsc wpośród swych rodaków.

Długi jest szereg prac wykonanych przez tego malarza. Od obrazu „Chrystus Pan w Ogrójcu," pierwszy odniesiony sukces na wystawie 1844 r.— aż do ostatnich prac, jak portrety p. Alberti, p. Keslerowej, wszystkie są oznaczone znamieniem sumienności wykonania, czystości rysunku i wielkiego blasku kolorytu. Jako portrecista zajął Cabanel miejsce, które w Akademii Sztuk Pięknych i poza Akademią niełatwo znajdzie kogoś, coby je godnie mógł zająć, chociaż jest tu tylu zdolnych artystów. W mojem mniemaniu, jeden tylko hr. Andrzej Mniszech mógł walczyć o lepsze z Alexandrem Cabanel'em.

Póki jesteśmy w Akademii Sztuk Pięknych, zaznaczmy, że d. 19 Stycznia obrała ona swym członkiem (*membre associé étranger*) Siemiradzkiego. Jest to drugi Polak uczczony tym wyborem; pierwszym był Matejko, wybrany w 1874 r. na miejsce zmarłego Kaulbacha.

Y

Wiadomości z Hygieny i Medycyny Popularnej.

HYGIENA WZROKU

według

D-ra Ks. Gałęzowskiego.

(Dalszy ciąg).

Bardzo ważny związek ze wzrokiem posiada ogólne zachowywanie przepisów hygienicznych. Wszystko to, co oddziaływa szkodliwie na ogólny stan zdrowia, działa też bezpośrednio lub pośrednio na oczy. Niezmiernie ważną rzeczą jest czyste powietrze w mieszkaniach. Powinno ono być,

oile możności, wolne od kurzu i dymu; wielka ilość zapaleń łącznicy i rogówki, bardzo uporczywych, rozwija się u indywiduów limfatycznych, przemieszkujących w dusznych i wilgotnych pokojach.

Już kilkakrotnie wzmiankowaliśmy o wpływie światła na wzrok; powiemy o nim obszerniej później, mówiąc o szkole; tu tylko zauważymy, że w mieszkaniach prywatnych należy również baczną zwracać uwagę na oświetlenie jego części składowych. Gdy okna wychodzą na północ, nie można się spodziewać dostatecznego oświetlenia. Pokoje przeznaczone na gabinety powinny być jaknajlepiej oświetlane. Stosunek okien do podłogi powinien być 1:5; jedynie wtenczas oświetlenie będzie dostatecznem.

Skutkiem dzisiejszego wadliwego sposobu budowania, wielka część mieszkania pozostaje bardzo mało lub wcale nieoświetloną: przedpokoje, jadalnie, alkowy, których okna wychodzą na kurrytarze albo ciasne podwórza, wiele warsztatów, biur,—nigdy słońca Bożego nie ogląda i światłem sztucznem zadawalniać się musi. Są to przyczyny sprowadzające bardzo często niedowidzenia. Siatkówka, nie odbierając właściwego naturalnego światła, stopniowo zostaje osłabioną. O niezbędnej ilości światła dla oka, pamiętać potrzeba równie troskliwie, jako o niezbędnej ilości powietrza dla płuc. Wypada unikać zbyt jaskrawych kolorów, w obiciach, meblach i t. p. męczących wzrok, szczególniej w pokojach, gdzie się pracuje lub spędza większą część dnia; w pokojach słabo oświetlonych wolno za to uciec się do podwyższenia światła za pośrednictwem jasnych obić.

Tosamo można powiedzieć o malowaniu domów.

Oświetlenie, jak wiadomo, bywa naturalne (słoneczne) i sztuczne, którego mamy kilka rodzajów.

Światło słoneczne jest białe, jakkolwiek złożone z kilku kolorów: fioletowy, indygo, niebieski, zielony, żółty, pomarańczowy i czerwony; są to kolory tęczy, które można otrzymać w ciemnym pokoju na ekranie, przepuszczając je przez pryzmat szklany, jest to tak nazwane *widmo słoneczne*.

Otóż owo światło słoneczne jest niezbędne dla dokładnego funkcyonowania organizmu; a dla oka jest czynnikiem, zapomocą którego odbywa się sprawa widzenia. Skutkiem tego powinniśmy światła zapewniać sobie, jaknajwięcej; a tymczasem w wielkich miastach, z powodu wysokich domów, dzieje się wprost przeciwnie. Szczególniej ma to miejsce w mieszkaniach parterowych i mieszczących się na niższych piętrach. Skutkiem tego wadliwego stanu bardzo wiele sklepów, biur, mieszkań, musi być większą część dnia, a niekiedy i cały dzień, oświetlane sztucznie, co szkodliwie oddziaływa na ogólny stan zdrowia i na oczy.

Z drugiej strony nadmiar światła słonecznego może ujemnie oddziaływać na wzrok, sprowadzając krótkowzroczność i stany zapalne. Dlatego należy również unikać zbytku, jak strzedz się braku. Szczególniej szkodliwie działa zbyt silne światło, gdy pada na kolor biały np. w okolicy pokrytej śniegiem, i natenczas bardzo korzystnie jest chronić oczy zapomocą konserwów.

Najbardziej rażącemi ze światła słonecznego są promienie żółte, od których chronią najlepiej konserwy niebieskie, przepuszczając promienie łagodne, jakiemi są niebieskie, indygo i czerwone, czyli cieplikowe, od których znowu chronić należy oko, gdy organ ten znajduje się w stanie zapalnym. Osiągnąć to można przy użyciu konserwów ze szkła uranicznego. Są one szczególniéj pożyteczne we wszelkich napływach krwi do oka, zapaleniach tęczówki i rogówki, wydarzających się najczęściej w krajach podzwrotnikowych i u robotników wystawionych na silne działanie światła.

Dziś w powszechnem użyciu są konserwy o kolorze szkła zakopconego i przyznać potrzeba, że doskonale ochraniają oko od szkodliwych czynników.

Co do *Światła sztucznego* to żadne nie może się równać ze słonecznem, gdyż w mniejszej albo większej części przeważają w niem promienie żółte z uszczerbkiem promieni zielonych, niebieskich i fioletowych. Zresztą światło sztuczne zawsze prawie drży, miga się, — filuje.

Dobre światło sztuczne powinno: 1-o być dostateczne, 2-o nieoślepiające, 3-o nierozgrzewające i 4-o nie powinno filować.

Najlepszem jest światło elektryczne, albowiem zawiera najmniej promieni żółtych a przeważają w niem niebieskie i fioletowe; po niém następuje nafta, dalej gaz, olej i wreszcie świece.

Światło elektryczne, jako najbielsze, jest najkorzystniejsze dla wzroku, siła jego oświetlenia jest siedm razy większą od siły światła gazowego, a dwanaście razy większa od światła lampy olejowej.

Dla uniknięcia olśnienia używać należy szkieł matowych albo mlecznych. Światło elektryczne najwłaściwiej przedstawia kolory, a to właśnie dlatego, że najmniej zawiera promieni żółtych, czego nie osiąga się przy oświetleniu gazem, naftą, olejem, świecami, wtedy bowiem kolor niebieski wydaje się zielonym, żółty białym i t. d.

Zauważono nawet, że rozpoznawanie liter i kolorów przy świetle elektrycznem odbywa się łatwiej niż przy słonecznem, i z tego względu światło to powinno być zastosowane wszędzie gdzie chodzi o rozpoznawanie sygnałów na większej odległości.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Z BIEŻĄCEJ CHWILI.

— **Na wystawie Towarzystwa Sztuk Pięknych** ukazał się już zapowiedziany obraz Jana Rozena: *Przegląd Kawaleryi na Saskim Placu*. Obraz ten, wielkich rozmiarów, przedstawia Plac Saski jeszcze nie zamknięty przez gmach Hotelu Europejskiego i tyły ulicy Czystej. Wielki książe Konstanty na koniu, patrzy na pędzący w pełnym biegu oddział Białych Ułanów; obok Wielkiego Księcia sztab jego w paradnych mundurach. Po za ułanami na dalszym planie stoją szasery, oraz baterya artyleryi. Publiczność przyglądająca się manewrom jest w ubiorach ówczesnych, razem blizko dwieście osób, między tem wiele portretowanych. Wszystko to oświetlone słońcem letniem.

— **Konkurs Warszawskiego Towarzystwa Muzycznego** na mszę, rozstrzygnięty dnia 10 bieżącego miesiąca, nie przyznał nagrody żadnemu z czterech nadesłanych utworów. Odznaczono tylko nagrodą jeden, z godłem: „Tempora mutantur et nos in illis“ Sędziowie przesłali komitetowi Towarzystwa odezwę, aby fundusz konkursowy został użyty na cel inny.

— **Komitet kassy pomocy Naukowej imienia Mianowskiego** ogłasza, że w roku bieżącym przyznane będą dwie nagrody: jedna za najlepszą pracę z nauk ścisłych, (matematyki, nauk przyrodniczych i biologicznych) ogłoszoną drukiem w języku polskim od dnia 14 września 1884 r. do dnia 31 grudnia 1888 r. — druga za najlepszą pracę z nauk społecznych, prawnych, historycznych i tym podobnych. Prace wspomniane wyjść mają wyłącznie zpod pióra mieszkańca Królestwa i poddanego tutejszego. Nadesłać je należy do biura komitetu, w Banku Handlowym, przed końcem bieżącego miesiąca.

— **Sędziami dzieła historycznego wydanego w 1888 r.** dla przyznania nagrody imienia Probusa Barszczewskiego, wybrani zostali przez Akademią Krakowską D-rzy Smolka, Zakrzewski i Ulanowski.

— **Biblioteka po Kraszewskim nie znalazła dotąd nabywcy.** P. Franciszek Kraszewski podał petycyą do wydziału krajowego we Lwowie z propozycyą, aby została zakupioną na rzecz Galicyi lub jednego z większych miast galicyjskich, a to ze względu, aby nie poszła w ręce obce. Cena jest 25,000 zł: reńskich, której wypłatę, chce on, jako wykonawca testamentu zmarłego ojca, rozłożyć na lat 10. Warunki niezmiernie przystępne i dla bogatych osób prywatnych.

— **Zakopane** ma być wystawione na ponowną licytacyą publiczną w dniu 9 i 13 czerwca r. b. w sądzie obwodowym Nowego Sącza. Nieprawdą jest, aby się miało utworzyć jakieś konsorcyum z celem nabycia tej posiadłości, i niebezpieczeństwo przejścia jej w ręce obce znów grozi. Towarzystwo Tatrzańskie postanowiło, oprócz zwykłego Pamiętnika, wydać dla członków swoich na rok bieżący, jako premium bezpłatne, album fotograficzne widoków tatrzańskich; fotografie wykonał w Krakowie p. Szubert.

— **Bank Ziemski w Poznaniu** rozpoczął nakoniec swą działalność. Kapitał zakładowy wynosi 1.200.000 marek. Na akcye podpisano przecież summę owiele wyższą.

— **Wyprawa do Bieguna Północnego** tworząca się w Norwegii pod przewodnictwem D-ra Nansena, śmiałego podróżnika, przez lody Grenlandyi, liczyć będzie między członkami swymi D-r Józefa Rzezińskiego z Kopenhagi i Henryka Demposza, przyrodnika z Poznania. D-r Nansen otrzymał świeżo na wyprawę swą do Grenlandyi medal — Vega przyznany mu przez *Towarzystwo Geograficzne* w Stockholmie. Podobne medale, przyznane za zasługi naukowo podróżnicze, posiada dotąd tylko Nordenskiöld, Stanley, Palander i Junker.

— **Towarzystwo Afrykańskie Krzyża Czerwonego** zostało utworzone przez Króla Belgijskiego, jako władcę państwa Kongo. Celem towarzystwa jest urządzenie stacyi ratunkowo-pomocniczych dla podróżników po przestworach Afryki. Utworzone w Bruxelli d. 26 stycznia b. r., Towarzystwo obrało prezydentem swoim księcia de Ligne, ale rzeczywistym, to jest czynnym jego naczelnikiem, jest znany podróżnik baron Joly. Znaczenie Towarzystwa jest dla postępów w zbadaniu Afryki bardzo wielkie.

Wystawa „Salon de Paris“ przyśpiesza otwarcie swoje, które zostało obecnie postanowionem na dz. 15 kwietnia. Powodem jest, że paryzki Pałac Przemysłu potrzebnym będzie w Czerwcu na uroczystości narodowe, więc poprzedni termin zamknięcia wystawy zostaje o 15 dni przyśpieszonym.

Do dzisiejszego numeru *Bluszczu* dołącza się Arkusz 13-ty powieści pod tytułem: **Stargane życie**, przez Florentynę Marryat.

TREŚĆ. Pogawędka. — Karolina Cahen przez M. Ilnicką. — Serce i głowa przez Maryą Ilnicką. — Słowa a czyny, powieść przez Sewera. — Nowiny paryzkie. — Wiadomości z Hygieny i Medycyny Popularnej, (hygiena wzroku) według D-ra Ks. Gałęzowskiego. — Z bieżącej chwili.

Dodatek obejmuje: Arkusz 12-ty powieści pod tytułem: **Stargane życie**, przez Florentynę Marryat. — 23 wzorów ubiorów i robót z opisem.— Sekreta gospodarskie. — Dyspozycyą stołu.

Warszawa.—W Drukarni i Litografii S. Orgelbranda Synów, Krakowskie-Przedmieście Nr 66. Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg.

Дозволено Цензурою. — Варшава, 8 Февраля 1889 года.